53

Z różnych dróg.

Wiele już lat upłynęło odkąd siostra Klara zamknęła życie w dwu wyrazach: modlitwa i miłosierdzie, do szczętu wyrzuciła z siebie pojęcia: ja i szczęście, a zastąpiła je innemi: Bóg i poświęcenie. Wiele lat upłynęło odkąd z niwy życia nie zrywała kwiatów innych, jak te uśmiechy ulgi, które pod jej ręką i wejrzeniem rozkwitały na łożach sal szpitalnych i te mistyczne wonie nieba, które spływały w nią niekiedy, z wielkich i rozmodlonych ciszy kaplicy i celi klasztornej. Już od trudów i bezsenności zeszczuplałe jej rysy okryły się bladością tak przezroczystą, że w głębokim cieniu kornetu podobne były do delikatnie wyrzeźbionego opłatka; już pamięć jej po brzegi wypełniła się wspomnieniami nędz ludzkich i ofiar z własnych sił ducha i ciała czynionych, a nigdy jeszcze tak jak dnia tego dusza jej wstrząśnięta i wola wytężona nie była. Kiedy obok towarzyszącej jej siostry Benigny szła po gładkim chodniku ulicy, wielkie miasto kipiało dokoła ruchem i gwarem pogodnej godziny przedwieczornej. W turkocie kół niezliczonych, w migotaniu ubiorów różnobarwnych, szu-

błyszczących, ust śmiejących się i rozgadanych, siostra Klara szła krokiem cichym, prędkim, z sercem ściśniętem i strwożonem, z bezustanną myślą o tem, co przebyła nocy ubiegłej i o tem, co wnet przebyć będzie musiała. Przez całą noc ubiegłą, głowa kobieca młoda jeszcze, wynędzniała strasznie, w gęstwinie włosów czarnych jak w ponurej chmurze, rzucała się przed jej oczyma na poduszce szpitalnego łoża, ręce bezkrwiste, z palcami wyschłemi jak piszczele wyciągały się ku niej, a głos wychodzący z piersi dyszącej ciężko, z ust, których pięknej linji nawet męki przedśmiertne zatrzeć nie zdołały, mówił, szeptał, chrypiał.

— Pójdź, siostro, do niego! pójdź, proś, aby przebaczył, aby powiedział ci, że przebacza, bo musiał cierpieć wiele... teraz rozumiem ile cierpiał, gdy sama... O, Boże, ale ja nie tylko o przebaczenie chcę go błagać... Ty, siostro, może zlękniesz się gdy powiem, jaką prośbę... To rzecz niesłychana, potworna, aby ktoś co tak zawinił, śmiał jeszcze taką prośbę... ale ja innej ucieczki nie mam... ja z tym strasznym niepokojem o nią umrzeć nie mogę... spróbuję... może przez miłosierdzie.... Idź, siostro, proś! Powiedz, że ona niczemu niewinna, taka mała, śliczna,

opuszczona... Widziałaś ją wczoraj! Prawda, że Anioł? Robak maleńki, po którym wszyscy deptać będą... Ale ty, siostro, nic nie wiesz. Nie możesz zrozumieć czego chcę od ciebie... od niego! Nachyl się, posłuchaj... Wyspowiadałam się już, ksiądz rozgrzeszył... teraz ty, siostro, słuchaj, abyś wiedziała, jak Pan Bóg karze.....

Płaczem zaniosła się, a potem dokończyła.

— I co jemu powiedzieć... jak go prosić....

Ręce prawie trupie tak ją za habit pociągnęły, że musiała przy łóżku uklęknąć. Musiała też, często pochylać ucho ku twarzy chorej, aby dosłyszeć co mówiła. W sali szpitalnej lampa nocna dogasała, sen zamykał powieki tym nawet, którzy najsrożej cierpieli, świt zaglądał do okien, krople potu występowały na czoło siostry Klary, a chora mówiła jeszcze, opowiadała, skarżyła się na los swój, na ludzi, na samą siebie, coraz mniej przytomna, z coraz więcej wikłającemi się na ustach wyrazami, czasem rozrzewniona aż do płaczów głębokich i długich, - czasem rozjątrzona aż do przekleństw miotanych na bieg życia, na serce własne, na człowieka który zręcił ją widmem szczęścia niezmiernego, a potem

rzucił w otchłań niedoli bezdennej. Ale cokolwiek i jakkolwiek mówiła, jak kolec ciągłem kłuciem przypominający się sercu, na usta jej powracał wyraz: ona! Y zaraz potem prośba, pełna oddechów buchających żarem i spojrzeń zalanych łzami.

— Pójdź do niego! proś! Służebnicą Chrystusa jesteś. Chrystus rozkazał ratować ginących.... powiedz mu, że Chrystus rozkazał przebaczać... że jawnogrzesznicy przebaczył... że dzieci lubił... Niech zlituje się nad małym robakiem, podejmie z ziemi... aby zdeptanym nie był... Może to uczynić.... gdyby chciał tylko! Bogaty! Widziałam go zdaleka... silny taki, zdrowy, ludzie kłaniają się mu... ze wszystkich stron kłaniają się... ani znać po nim jakiegokolwiek nieszczęścia... A ja! O, Boże! Co tam ja! mniejsza już o mnie! Już dla mnie wszystko minęło... minęło...

Zapłakała znowu.

— Ale ona! ona! ta moja gwiazdka złota! Pójdź, siostro, do niego. O niej mów... za nią proś! Opowiedz jakam ja biedna i jaka ona mała, śliczna, niczemu niewinna...

Więc u schyłku dnia majowego, w kipiątku wielkiego miasta, w woniach rozkwitających po ogrodach akacyi, w światłach zachodu, które kiedy niekiedy kładły różane smugi na śnieżną białość jej kornetu, szła — do niego. Obok niej, barczystsza i czerstwiejsza siostra Benigna dreptała milcząc i podnosząc czasem na towarzyszkę dobre, pytające oczy. Ale delikatne wargi siostry Klary ściśle były zamknięte. Nie mogła zdradzić tajemnicy cudzej musiała sama, o własnych siłach, podźwignąć krzyż obowiązku i miłosierdzia.

Bo był to krzyż. Na myśl, czyj próg przestąpi, do kogo mówić będzie, ogarniały ją trwoga, zawstydzenie, nadewszystko zaś odraza z którą walczyła nadaremnie, zwalczyć jej nie mogąc. Wiedziała, że nikogo sądzić, ani potępiać nie powinna, więc walczyła z odrazą, która niemniej taiła się w sercu i niepokoiła ją uczuciem popełnionego grzechu. Powołanie jej i obowiązki które pełniła wprowadzały ją często w stosunki z ludźmi; imię też człowieka tego, słynne z talentu, rozumu i energji, wprzódy już parę razy osłuch jej się obiło. Nic złego nie słyszała o nim, ale wiedziała, że

żyje zanurzony w tym duchowym zamęcie, w tych gęstych mgłach, które teraz przed ludźmi zasłaniają niebo. Należy też zapewne do tych, którzy myślą zuchwałą, lub życiem oddanem sprawom i rozkoszom, powiększają ten zamęt i te mgły czyniąc coraz ciemniejszemi. Rozum! talent! Czyliż zawsze są one pochodniami, przyświecającemi stopom ludzkim, aby nie schodziły ze ścieżek, wykreślonych przez mądrość i wolę Boga? Bywają też często, — w jego ręku są może również, — żużlami, wzniecającemi w duszach pożary zwątpienia i buntu. Co pewna, to że był światowcem, dzielącym życie pomiędzy pracą, dostarczającą mu bogactwa i sławy, a uciechami któremi świat karmi zmysły i próżność ulubieńców swoich i losu. Słyszała, że żyje w zbytku, otoczony tem pięknem, które pieści zmysły i prowadzi do ubóstwienia materyi i jej tworów. Wieczne obieganie koła interesów doczesnych, wieczne schlebianie podniebieniu cielesnemu, gwar, tłum, chwalba ludzka, oto atmosfera którą oddycha, pokarm którym się odżywia dusza ta — jakże pewno zadowolona i dumna! Tryumfator, pewnie pyszałek, jeden z tych, którym powiodło się wedle ludzi.... ale wedle Boga? „Biada wam bogaczom, bo macie już

pociechę waszą!.. Zresztą, niech Bóg go sądzi! Lecz co siostrze Klarze wydaje się zupełnie pewnem to, że za chwilę on i ona, zejdą się z sobą z dróg tak niezmiernie różnych, jak gdyby nie na jednym wykreślonemi były. Drogi te są tak niepodobne do siebie, że pomiędzy tymi którzy niemi postępują istnieć musi przepaść niepodobieństw. Jakże ona, zakonnica pokorna i w język światowy niewprawna mówić będzie z tym człowiekiem któremu, ze wszystkich stron kłaniają się ludzie, którego mowa jest zapewne zgrabną służebnicą wykrętnej myśli? W imię Boga tylko przemawiając, czy przekona tego, który może w Boga nie wierzy? Ażeby dopiąć zamierzonego celu, umierającą pocieszyć i niewinne dziecię od zguby uratować, pragnęłaby już nawet przemówić językiem tego świata, do którego on należy, ale — nie potrafi, zapomniała go i nie jest pewna czy godzi się myśl bożą o miłosierdziu, owijać w ponętnie haftowane woale światowe? Jakże więc zdołają zrozumieć się nawzajem i u gorejącego słupa ofiary zgodnie zejść się — z tak różnych dróg?...

Jednak i on doświadczył raz nieszczęścia; palec Boży dotknął go był karą, czy przestrogą. Ale czy silnie uczuł to

dotknięcie? Rzecz wątpliwa. Z tych którzy lekko ślizgają się po powierzchni życia, lekko także ześlizgują się ciosy życia. Kto nie zstępuje we własne głębie, do tego głębi nic także nie przenika. Jeżeli fatalny ten wypadek zadał mu ranę, to pewnie zagoiła ją już oddawna maść złożona z miłego na sposób różny przepędzania czasu, z podróży ciekawych, sprzętów pięknych, kto wie? może z tych samych uczuć, które lekkomyślna stopa tej nieszczęśliwej zdeptała, a dłoń innej na nowo roznieciła, bo wszakże czynił on starania o otrzymanie rozwodu.... Siostra Klara słyszała o tem i teraz myślała, że niepamiętny na krzywdę zrządzoną tamtej, chciał z inną iść do ołtarza. Tak, krzywdę; bo siostra Klara nie może obronić się myśli, że występek tej kobiety nietylko na jej lecz i na jego sumienie spadać powinien. Była tak młodą! On, starszy, posiadał więcej doświadczenia i wiedzy; dla czego nie przeniknął, nie odgadł, nie zapobiegł, nie ustrzegł? Może nawet pychą i niewiarą swoją zatruł jej duszę, przykładem pogoni za uciechami światowemi popchnął ją na manowce! Gdybyż tę winę swoją chciał zrozumieć, uznać! Przebaczyłby może umierającej i spełnił jej prośbę.

Lecz zaledwie podobna przypuszczać, aby stać się to mogło. „Azaliż z cierni zbierają jagody winne, albo z ostu figi?!! Pycha zaślepia. Uciechy światowe, to kurzawa, która przed człowiekiem zasłania plamy jego duszy. Tylko pokornym i cnotliwym Bóg pozwala w nurtach sumienia wyławiać perłę skruchy. Jednak, łaska Boża wszędzie i zawsze działalną być może i ją to na pomoc wzywa siostra Klara, wstępując na ozdobne wschody pięknego domu. Ona sama nic nie może. „Nie możesz uczynić jednego włosa czarnym albo białym." Modli się więc w duchu. Błaga Boga o światło i natchnienie; krótka modlitwa i uczucie obowiązku wzniecają w niej śmiałość. Śmiało też choć delikatnie przyciska palcem guzik dzwonka u drzwi, na których oczy jej machinalnie wyczytują napis: Czesław Zanimirski.

Przez otwarte drzwi gabinetu widać pokój jadalny, z ciężkim stołem gdańskim pośrodku i zwisającym nad nim, równie jak on staroświeckim świecznikiem wieloramiennym. U ściany szafa także gdańska, ciężka, a leciuchną koronką rzeźby okryta, przepyszna.

Od ciemnych ścian odbijają przytwierdzone do nich stare fajanse, Delfty, pochodzące z Holandyi, z malowidłem, które en grisaille przedstawia fantastyczne zwierzęta i rośliny. Gdzieindziej, ścianę przerzyna pas ciemnego drzewa: to zegar.. zamknięty w starożytnej szafce, tak wysokiej, że oblicze jego duże, postarzałe, spłowiałemi różami zwieńczone, prawie z pod sufitu spogląda na pokój, którego bogactwo kryje się pod surową zasłonę barw ciemnych i kształtów ciężkich. To samo w gabinecie. Z szafy bibljotecznej, której zgrabne kolumny, żwierciadlane szyby i długie szeregi książek, prawie w zupełności jedną ze ścian zakrywają, z dużych popiersi dwu wielkich wieszczów, z rozwieszonych na ścianach starych sztychów i oryginalnych, malarskich szkiców, z wielkiego biórą okrytego mnóstwem papierów, ze spłowiałego gobelinu, który delikatnemi barwami i mglistemi zarysami, rozpraszającem się marzeniem napełnia róg pokoju, dobywa się jakaś atmosfera, woń, tchnienie, których siostra Klara zrazu wyrozumieć ani określić nie może. Służący wprowadził ją tu i poprosił, aby chwilę zaczekać raczyła. Towarzyszka jej została w pokoju przyleg-

tym, a ona, w gabinecie, który odrazu nazwała w myśli pracownią, usiadłszy na sprzęcie najbliżej drzwi stojącym, oczekując na rozmowę, którą sam na sam z właścicielem tego mieszkania stoczyć musi, rozgląda się dokoła, myśli i czuje niejasne zdziwienie. Wcale inaczej miejsce to wyobrażała sobie. Nie myślała o niem wiele, lecz gdy wejść tu miała mimowolne działanie wyobraźni ukazywało jej połyski kruszców, jaskrawe barwy materyi drogocennych, pozłoty, atłasy, poduszki nadziane puchem, obrazy od których oczy jej uciekać będą musiały. Tymczasem, jest tu trochę ciemno... bo sprzęty są ciemne i za oknami wisi zielona firanka drzew rozległego ogrodu. Bardzo też czysto. Nic dziwnego. W mieszkaniu bogatego człowieka z góry już niepodobna przypuszczać kurzu na sprzętach lub śmiecia na podłodze. Ale nie tę pierwotną czystość uczuwa siostra Klara. Jest to coś daleko subtelniejszego, idącego z ciszy, która tu panuje, z zieleni za oknami, z braku fraszek, puchów i tego nieporządku rzeczy, który maluje nierząd przyzwyczajeń. Plamy nietylko istnieć mogą na sprzętach, ale i unosić się w powietrzu. Tu nie czuć plam. Bardzo czysto. Przytem

nic nie błyszczy, nie krzyczy, nie rzuca się w oczy z zuchwalstwem bogactwa, które samo w sobie stanowi cel i uciechę. Jak nuty muzyczne dla ucha, linje wybornie dobrane zlewają się dla oka w akord zgodny i trochę surowy. Siostra Klara nie zdaje sobie jasnej sprawy z tego czego doświadcza, ale jest to wrażenie miary i harmonji. Długa chwila przeminęła, zanim przez myśl jej przewinęły się słowa: bardzo pięknie! Nie znała nazw, historyi, ani pieniężnej ceny przedmiotów otaczających, lecz usłyszała wydawany przez nie akord piękna. Był to przytem taki akord, w który bez wahania wsłuchiwać się mogła, bo dobywał się z rzeczy wprawdzie materyalnych, lecz w których tkwił i do atmosfery przelewał się pierwiastek duchowy, lotny, coś, jakby cicha rozmowa lub śpiew rzeczy niemych. Niedaleko drzwi, na brzegu fotelu siedząc, siostra Klara z zamyśleniem szepnęła.

— Pięknie!

W głębi duszy jej, pokorna i ukryta, gorzała iskra poezyi, — bez tego, mogłażby być tą poetką czynu, jaką jest siostra miłosierdzia? Więc wpatrując się w róg pokoju, napełniony mglistemi barwami starego gobe-

linu, z uśmiechem na bladych ustach pomyślała.

— Jak uciekający sen!

Cicho. Do mieszkania umieszczonego pomiędzy dużym dziedzińcem i rozległym ogrodem, gwar miasta dochodzi z oddali, słabo, przez prawo kontrastu pogłębiając jeszcze panującą tu ciszę. Wzamian, miesza się z nią odgłos rozmowy, prowadzonej za paru zamkniętemi drzwiami, przez kilka głosów męzkich. Z brzmienia tych głosów odgadnąć można, że jest to narada, w której zdania krzyżują się i czasem ze sobą walczą. Raz, jeden z rozmawiających podniósł nieco głos i wtedy, z za ścian, w ciszę gabinetu wpadły wyrazy.

— Jeżeli chcemy cel doścignąć, on...

Dalsze słowa utonęły w oddalonym szmerze głosów.

Wzrok siostry Klary tkwił w przedmiocie przyozdabiającym róg wielkiego bióra. Był nim krzak wrzosu, w majolikowym wazonie kwitnący, produkt hodowli cieplarnianej, w tem mieszkaniu wielkomiejskiem przypominający ustronia leśne i żółte piaski, ścielące się brzegami lasów.

Z za ścian, z głębi mieszkania, w zielony półcień,

rzucany przez rosnące za oknami drzewa, wpadają znowu głośno wymówione słowa.

— To prawie niepodobieństwo...

I natychmiast przez inny głos wymówione

— To obowiązek!...

Potem, ktoś tam głośno czytać zaczyna, a przy dochodzącym z za ścian szmerze czytającego głosu, popiersia wieszczów patrzą w przestrzeń z zadumą w martwych oczach. Po kilku minutach, szmer czytającego głosu milknie, natomiast, kilka głosów razem wymawia.

— Brawo! brawo! To prawda! prawda!

Ktoś tam, za ścianami, święci tryumf podbicia dla myśli swej kilku umysłów innych. W zielonym półcieniu gabinetu, rozlewa się liljowy uśmiech leśnego kwiatu, stary gobelin majaczy w rogu pokoju, jak znikające marzenie senne, z za drzwi zamkniętych dochodzi stąpanie po kobiercach i posadzce kilku par stóp męzkich. Głosy rozmawiających stają się coraz bliższe i słowa, które wymawiają, wyraźniejsze.

— Przekonał pan nas zupełnie.

— Przedewszystkiem fundusze…
— I odpowiednie siły."
— Na kiedy posiedzenie?
— Zwlekać nie trzeba!
— Co się odwlecze, to — uciecze!

Stanęli w pokoju przyległym; w zmięszanych głosach rozróżnić można czasem wymawiane daty, cyfry, nazwiska. Idą znowu, drzwi otwierają się i przez gabinet przechodzi kilku ludzi różnych wzrostów i różnego wieku, z twarzami bardzo ożywionemi. Na widok siostry miłosierdzia wszyscy jednomyślnie składają przed nią ukłony pełne uszanowania głębokiego, lecz bez zdziwienia, bo należą do tych, którzy na świecie tak wiele widują i tak prawie wszystko znają, że nic zadziwiać ich nie może. W przedpokoju rozmawiają jeszcze, a siostra Klara tymczasem, przez drzwi które po przejściu ich zostały otwarte, spogląda w głąb salonu, z którego znowu dobywa się tchnienie dla niej niespodziewane.

W głębi salonu, ścianę okrywają ramy duże i mniejsze, napełnione malowanemi twarzami, ubiorami,

godłami. Jest to zbiór portretów, minjatur, emalji z przedziwną delikatnością zdjętych ze starożytnych sygnetów. Pośrodku, największych rozmiarów obraz, na którym rycerz z twarzą cudnie piękną, wraz z koniem którego dosiada i wojskiem którem przywodzi, rzuca się w spienione fale Elstery. Nad tą sceną dramatyczną twarz królewska pod peruką upudrowaną, patrzy z mdłym uśmiechem mdłej piersi, która dramatu uczuć nie jest zdolna. Na minjaturach migocą zdala twarze i ubiory pradziadów i prababek, z rzuconego na stronę stolika marsowo spogląda biały wjarus ze starej porcelany saskiej.... a siostra Klara uczuwa lecącą od tego wszystkiego woń rzeczy dawno znanych, serdecznie pamiętnych, drogich. Szczególniej od bladych rysów rycerza, wskakującego na koniu do spienionej rzeki, wieje ku niej przypomnienie dzieciństwa i pierwszych lat młodości. Taki sam obraz, mniejszych tylko rozmiarów, znajdował się w dworku wiejskim, pod którego strzechą ujrzała światło dzienne; pamiętagо odkąd zaczęła rozróżniać przedmioty przez światło to oblewane, przypomina on jej oczy ojcowskie, które często na niego patrzały, ramiona matki

także, które ją często ku niemu podnosiły. Możeż to być, aby tu, w tem mieszkaniu, wpadła w nią iskra uczuć tak jej własnych, drogich, czystych, z oczu ojcowskich, z ramion macierzyńskich wziętych? To tak jak ten kwiat na biórku! Bo w pierwszej młodości, jakże lubiła ona te pokorne wrzosy, liljową mgłą zaściełające mchy leśne i podleśne piaski! Żebyż mogła teraz, z wazonu tego, zerwać kilka gałązek, zanieść je tej nieszczęsnej dla której tu przyszła i orzeźwiwszy ich świeżością oczy jej spieczone przez łzy i gorączkę, włożyć je w jej prawie trupie dłonie, jako widomy znak — przebaczenia! Od zabłąkanej tu rośliny leśnej wzrok jej odciąga blady rycerz na obrazie, a potem popiersie poety, którego marmurowe oczy przez drzwi otwarte patrzą na malowaną twarz bohatera.

Gdy Zanimirski, z wejrzeniem pytającem, składał przed zakonnicą ukłon głęboki, jej się wydało, że ze snu ciepłego i miłego, budzi ją obca i zimna rzeczywistość. Tak samo, zupełnie tak samo wyobrażała go sobie: zadowolony z siebie i ze świata, pochłonięty sprawami

świata od stóp do głowy okryty piętnem światowej wytworności i pewności siebie. Wzrost miał średni, czoło jak u młodzieńca gładkie i raźno podniesione w górę, w ciemnych oczach blask silny i przenikliwy, na ustach uśmiech radości, którą tak napełnionym być musiał, że aż wydzierała się mu na zewnątrz. Rysy twarzy ściągłe i regularne, zaokrąglały się u dołu pod krótko ostrzyżoną brodą, co nadawało całej twarzy znamię dobrobytu i zdrowia fizycznego. Przed wyobraźnią siostry Klary pomimowoli stanęła kobieta wynędzniała, w bólach ciała i duszy przedwcześnie umierająca na szpitalnem łożu. Jakaż różnica! Z dwojga ludzi, którzy razem rozpoczynali życie, teraz, w połowie jego, jedno tak zdruzgotane, drugie tak kwitnące! Z dwojga współwinowajców... bo niezawodnie część winy na jego barkach spoczywa, tylko że on tego niewidzialnego ciężaru nie czuje w tryumfującej swej radości życia...

Na twarzy Zanimirskiego istotnie malowała się radość. Był także niezmiernie zajęty i mnóstwo myśli napełniających mu głowę, mnóstwo zajęć, które na niego czekały, odgadnąć było można z nieprzezwyciężonego

zamyślenia, napełniającego oczy, z ruchów śpiesznych, z jakiemi przerzucał na biórku papiery i ołówkiem coś śpiesznie zapisywał. Potem, zwrócił się ku gościowi i uprzejmym gestem ręki wskazał jeden z dwu fotelów, tuż przy biórku naprzeciw siebie umieszczonych. Ta ręka biała, z gestem wykwintnym, znowu przypomniała siostrze Klarze te prawie trupie ręce, na które tej nocy tak długo patrzała. Niech Bóg ją wesprze! Ona do tego człowieka w imię Boga mówić będzie!

— Słucham, siostro! Czem służyć mogę?

Delikatne wargi siostry Klary nie drżały gdy przemówiła.

— Przychodzę od śmiertelnego łoża tej, której Pan przed ołtarzem Boga ślubował miłość i wierność do śmierci. Dla miłości Chrystusa i przez posłuszeństwo jego rozkazom, przychodzę aby powtórzyć Panu ostatnie słowa i żądania żony Pana, Laury Zanimirskiej, kończącej żywot swój w naszym szpitalu.

Głos jej brzmiał odwagą duszy, która przemawiając w imię zasady wyższej nad wszystko, nie lęka się niczego. Była przygotowaną do usłyszenia okrzyku nienawiści,

do ujrzenia obrazu pogardy, może nawet do grubjańskiego gestu, słowa. Przeciw tym przewidywanym wybuchom człowieka obrażonego, najpewniej zawziętego i mściwego miała napływający do myśli tłum wyrazów przekonywających i słodkich jak przykazania Chrystusowe, a gdyby zaszła potrzeba gromiących w imię Chrystusa. Lecz ani przewidywała, ani spodziewała się tego właśnie, co zaszło. Możnaby mniemać, że słowa przez nią wyrzeczone były dla Zanimirskiego tym gromem, który w pobliżu człowieka padając, nie zabija go, lecz odejmuje mu słuch i mowę. Wyglądał jak ogłuszony, oniemiały. Skóra i muskuły twarzy zaczęły mu kurczyć się i ściągać, aż stanęła cała w zmarszczkach, jak w poprzeciąganych wszędzie rysach boleści. Palce jego obejmujące poręcz fotela zesztywniały, w oczach uganiały się błędne światełka przerażenia.

— Laura.... umierająca... w szpitalu!

Po tym szepcie zdławionym, panowała w pokoju długa cisza, którą przerywało tylko ostre, krótkie ćwierkanie wróbli za oknami.

Lecz niedarmo Czesław Zanimirski słynął z energji

która dawała mu panowanie nad wielu sprawami i umysłami. Opanował teraz samego siebie. Wyprostował się, spójrzeniu nakazał spokój, tylko na twarzy pozostały zmarszczki, jak przez twardy jakiś palec wyżłobione rysy.

— Jakim sposobem? Zkąd tu przybyła? Z czego umiera? Dla czego... w szpitalu? Co się stało? Czy została opuszczoną...

Wyrazy poczęły więznąć mu w gardle, zmusił się jednak do dokończenia.

— Przez tego, dla którego mnie... który wziął na siebie odpowiedzialność... straszną? Czy... czy...

— Tak; rzekła siostra Klara.

Ręce Zanimirskiego, te białe, wytworne ręce, ścisnęły się tak silnie, że można je było wziąć za symbol tego bólu, który czasem ściska serce ludzkie, jak w żelaznych kleszczach.

— Tak! więc tak! przeciągle wymówił i głowa nisko opadła mu na dłonie.

Znowu wróble same jedne, ostro, krótko ćwierkały wśród ciszy, a siostra Klara siedziała nieruchomo; z cieniu kornetu oczy jej błękitne jak niebo, spoglądały na

spiorunowaną głowę człowieka, z wyrazem czegoś niebieskiego: może litości anioła dla nędz człowieczych.

— Przewidywałem to i dla tego, czyniłem wszystkie możliwe starania, aby zwrócić jej wolność, dać możność jawnego, prawnego zaślubienia...

Teraz, siostra Klara zawołała.

— Dla tego? w tym celu Pan to czynił?

Podnosząc na nią zdziwione oczy, zapytał.

— W jakimże by innym?

— Można było przypuszczać, że...

— Że dla siebie?

Po wargach trochę drżących, przewinęła się mu ironja. Zcicha odpowiedział.

— Nie, siostro. Wiosna co roku wraca, lecz w zdruzgotaniu się szczęścia ludzkiego to jest najokrutniejszem, że wiara w jego możliwość powrócić nie może. Skoro uczucia znikają jak cienie, pocóż uganiać się za cieniami? Dowiedziałem się, dowiedziałem się, jak krucha jest ta glina i pragnąłem o ile podobna uchronić od stłuczenia tę czarę, którą ona do ust sobie podniosła... chociaż....

Uczynił ręką gest zwątpienia.

— Chociaż i o tem wiedziałem, że była to biedna czara którą mułem ziemi nakarmił wicher szału....

— „Azaż gdy ślepy prowadzi ślepego, obadwa w dół nie wpadają?” ze spuszczonemi powiekami szepnęła zakonnica.

Potem, zcicha zapytała.

— Więc pan troszczył się o jej przyszłość?

— I o jej duszę także, odpowiedział.

— O... duszę! zawołała

Zanimirski podniósł na nią spójrzenie aż do dna źrenic smutne i łagodnie rzekł.

— Czyliż ja tej kobiety nie poznałem dziewczyną czystą, promienną.... pąkiem kwiatu przedziwnie świeżym?... O, siostro! Może niema na ziemi żalu tak gorzkiego jak ten, gdy dusza którą człowiek pokochał promienną — gaśnie! To jakby słońce gasło! Pragnąłem ratować bezpieczeństwo jej losu i blask jej duszy. Ale zniknęła. Pięć lat nie wiedziałem gdzie się znajduje i co się z nią dzieje. Bez niej zaś nic uczynić nie mogłem.

I stało się! Nie zapobiegłem niczemu. Nie powstrzymałem biegu tragedyi. Nie odwróciłem od niej kary, czy pokuty, która na nią jedną spadła za winę jej — i.... moją!

— I pana winę?

W zapytaniu tem było tyle zdziwienia, że Zanimirski podniósł zdziwione także oczy i znowu ironja przewinęła się mu po ustach.

— Bierzesz mię, siostro, za człowieka, który nigdy we własne głębie nie zstępuje.. Na powierzchni sumienia, w warstwach jego najpłytszych znajdują się grube winy cielesnych morderstw i grabieży, lecz daleko głębiej szukają skaz swoich ci, którzy wszystkim oprócz samych siebie wydają się nieskazitelnymi. Należę do takich. Na czci i sumieniu mojem nikt skaz nie dostrzega — oprócz mnie samego. Tylko, że za późno je dostrzegłem. Gdy cios ten uderzył we mnie, w ogniu męki serdecznej objawiła mi się prawda.. Ma się rozumieć, siostro, ma się rozumieć, żem był także winowajcą!

— Jakim sposobem?

Milczał chwilę, zbierał myśli i słowa, które może

rozpraszało płomień serdecznej męki. Potem zaczął.

— Może zbyt długo zatrzymuję cię siostro... może czasu masz mało... Nie skłonnym do zwierzeń... Serce mam milczące. Dla pracy rąk i głowy towarzyszy jest wielu, ale dla tej, która odbywa się w głębi nikogo. Tu, w tej ciszy, nieprawdaż, że prawie klasztornej? bywa ze mną tylko ona — ta cisza... Bo, siostro, ludzie sobie duszą w duszę nie patrzą nigdy.. Zawsze tylko powierzchnia... powierzchnia...

Z czołem na dłoni, podnosił ku bladej twarzy zakonnicy, wzrok prawie dziecinny, tak pokorny i ufny.

— Rzecz prosta, mówił. Na krzywych i ciasnych podstawach my marni ludzie wznosimy gmachy nasze, więc też i marnie dachy ich spadają nam na głowy. Byłem jak inni. Kochałem żar jej źrenic, purpurę ust, słodycz obejścia się, dowcip rozmowy, powierzchnię, powierzchnię, z której, jak pszczoła z kwiatu zbierając miody, mniemałem, że płacę sowicie, gdy nawzajem powierzchnię swoją jej do kochania oddaję. To bardzo powszechne. Rzecz sprowadza się do używania — tylko! To bardzo elementarne, bardzo materyalne,

a poezya na tę nagość zarzuca zasłonę czyniącą złudzenie, że tam jest cóś więcej, wyżej... zasłonę tak leciuchną, że gdy orkan namiętności zadmie...

Uczynił ręką gest lekceważący.

— Albo zefir mały powieje...

Nisko pochylił głowę.

— Gdy się to stało, spostrzegłem, żem zaniedbał duszę tej kobiety, żem właściwie nie myślał o niej nigdy. Jakie tony wywoływały z niej dotknięcia świata? Jakie czaiły się i czyhały potrzeby pokusy? Gdzie były utajone źródła jej słabości i siły? Ktoż kiedykolwiek rzeczy takich ciekaw? Życie jak strumień wartki, z korytem po brzegi pełnem, kipi, pędzi! Zajęcia, zabawy, nadzieje, niepokoje; godziny i dnie topnieją, jak mgła w upalnem słońcu. Czasu niema. Na zstępowanie w głębie istoty kochanej czasu niema! Jądro, same jądro kochania niewidzialne pozostaje za osłoną z ponętnej przędzy. Przędzę też przebija robak i jądro przegryza... a człowiek kochający... cha, cha, cha!.. Kochający! nie spostrzega, nie zapobiega, nie ratuje! A przecież — kocha! Lecz ślepcyśmy!

Gdy zaś jak powiedziałaś, siostro „ślepy ślepego prowadzi, azaż obadwa w dół nie wpadają?“ Moja wina!

Nagle wyprostował się i śpiesznie pytać zaczął.

— Więc bardzo chora? Czy wiele cierpi? Jaka to choroba? Możeby ratunek...

Wzrok mu zabłysnął. Zrywał się do czynu. prędzej, prędzej do czynu!

— Lekarzy? Pieniędzy? Może zmiana klimatu...

Siostra Klara przecząco wstrząsała głową.

— Nie. Nic już... nic. Kwestya kilku, paru dni...

W oczach uczuła mgłę wilgotną na widok głowy tego człowieka, która nisko na dłonie opadła, szepcąc.

— Biedna! biedna!

Po chwili zapytał.

— Mówiłaś, siostro, że ma jakieś żądania...

— Jedno tylko, lecz tak ważne i... śmiałe...

Zawahała się. Teraz dopiero uczuła, że to śmiałe żądanie może być także i okrutnem. Okrutnym był gwałt który samej sobie zadać miała, aby dziewiczemi usty poruszyć te męty życia. Lecz on go jej oszczędził. Patrzał na blady rumieniec, który opłynął jej policzki,

myślał chwilę i zapytał.

— Czy kogo osieraca?

Jakim sposobem, jakim sposobem odgadł pomysł tak dziwny i zuchwały, że powstać mógł tylko w gorączce, w rozpaczy, w zgryzocie sumienia, oko w oko ze śmiercią? Odgadł jednak. Siostra Klara szepnęła.

— Maleństwo biedne... dziewczątko malutkie... zagrożone nędzą i zgubą!

Była chwila milczenia. Zanimirski patrząc na zakonnicę przemówił.

— Nic więcej nie mów, siostro. Wiem...

Ruchem porywczym wstał z fotelu; siostrze Klarze wydało się, że rysy jego zaostrzyły się i stwardniały. Odwrócił się, przeszedł pokój i stanął zwrócony do okna w sposób taki, że profil jego uwypuklał się na tle szyby i zielonej za nią zasłony, wyraźny, ostry i twardy, jakby kamienny.

Minuty płynęły. Zakonnica z pochyloną głową myślała, że Bóg kazał jej dziś być świadkiem walki ciężkiej, toczącej się w duszy człowieczej. W myśli jej niewiedzieć zkąd powstały dwa wyrazy.

— W pięknej duszy!

Zaczęła modlić się.

— Boże! wesprzyj twór twój szlachetny i cierpiący!

Już pomiędzy nędzarką ze szpitalnego łoża, a człowiekiem, który pędził życie w tem pięknem mieszkaniu i w gwarze światowym nie spostrzegała kontrastu obrażającego.

— Nieprzebranemi w rozmaitości swej są, o Panie, te drogi, któremi stworzenia swe prowadzisz wśród nędz i smutków ziemi!

Minuty płynęły. W przyległym pokoju zegar zaczął uderzać godzinę. Z pod sufitu, od starego oblicza, zwieńczonego zbladłemi różami, płynęły zwolna dźwięki basowe i przewlekłe. Fala melancholji przepływała to mieszkanie, w którego ciszę, z za zielonej firanki liści, wpływać zaczęły różane światła zachodzącego słońca. Siostra Klara pomyślała.

— Jak w klasztorze!

A potem jeszcze.

— Duch kędy chce tchnie.

Zanimirski odwrócił się od okna, postąpił parę

kroków i stając przed zakonnicą, wielkiem biórem z nią rozdzielony, zapytał.

— Gdzie się znajduje?

Podniosła oczy niepewne czy trwożyć się mają albo radować, lecz nie spotkała się z jego wejrzeniem. Powieki miał spuszczone, był bardzo blady, w palcach trochę drżących trzymał ołówek.

— Adres? zapytał jeszcze.

Wymieniła nazwę uliczki nędznej i gminne nazwisko ludzi, które on szybko zapisał na kartce, a potem mówić zaczął.

— Powiedz jej, siostro, że uczynię czego żąda, że uczynię wszystko cokolwiek jest w mocy mojej.. Niech będzie spokojną.. Niechaj tej nocy spokojnie uśnie. Jutro.... O której godzinie, siostro, chorych waszych odwiedzać można? Jutro przyjdę do niej, powiem co obmyślę, jak ze zleceniem jej postąpię... i prosić ją będę... prosić będę, aby sumienie i serce jej nie trwożyło się, ani tem co uczyniła, ani tem co pozostawia.

W miarę jak mówił, siostra Klara podnosiła się z siedzenia z oczyma rozbłysłemi od radości i ze śpie-

wającemi w myśli słowami.

— „Ujrzycie niebo otworzone i Anioły Boże....

Ale werset ewaneliczny przerwało jej zdziwienie. Co się stało? Z kąd w człowieku tym zmiana tak nagła? Z twarzy jego zniknęły zmarszczki, czoło znowu stało się jak przedtem gładkie i wypogodzone, spojrzenie ciemnych źrenic, kędyś w przestrzeni tkwiące, pełne było radości cichej, lecz słodkiemi kroplami sączącej się z samego dna jego istoty. Ręce siostry Klary splatały się ruchem powolnym, w myśli jak hymn, brzmiały słowa.

— Ujrzycie niebo otworzone i Anioły Boże wstępujące i zstępujące....

Azaż duch człowieka tego nie wstąpił na wysokości niebieskie i nie zstąpił z nich ku ziemskim nędzom jak Anioł Boży? Z oczyma oszklonemi łzami mówić zaczęła.

— Wiem już teraz, odgaduję... Bóg dał mi poznać źródło radości i tryumfów Pana. Takim jak w tej chwili widziałam Pana przed rozpoczęciem się rozmowy naszej. Zapewne i wtedy, jakiś czyn dobry...

— O, nic wielkiego! przerwał śpiesznie, zupełnie

nic wielkiego! Trochę tylko odepchnąłem ludzi od samych siebie ... Bo ludzie, siostro, ogromnie lgną do samych siebie i trzeba czasem jedną ręką odrywać ich od tego najwyższego przedmiotu ich ukochania, a drugą wskazywać coś innego...

— Coś innego? co? zapytała zakonnica.

— Nędze ludzkie i idee boskie, odpowiedział.

Rozmawiali stojąc wielkiem biórem rozdzieleni. Od świateł zachodu pełno złotych strzał i rubinowych kropel było teraz na marmurowych popiersiach wieszczów, w szkłach osłaniających książki i sztychy, na papierach okrywających bióro.

Siostra Klara głośno powtórzyła.

— Idee boskie!

— Tak, siostro, odpowiedział. I cóżbyśmy nieszczęśni poczęli na ziemi, gdyby nie te gwiazdy na niebie naszem zapalone? Kiedy kruszy się i z pod stóp nam umyka statek własnego szczęścia, ich promieni czepiamy się rękoma zrozpaczonemi i ich tylko światło rozprasza nasze ciemności!...

— „Światło świata!" szepnęła siostra Klara.

W tejże chwili, w głębi salonu wybuchnęło ognisko świateł tak wielkie, że przyciągnęło ku sobie oczy obojga rozmawiających. To od zachodzącego słońca ogromna łuna czerwono-złota zwalczyła nakoniec zaporę z liści i padła na okrywające ścianę obrazy. Teraz dopiero, w tej łunie, zapałały ramy złocone, zaiskrzyły się na minjaturach barwy ubrań pradziadów i prababek, amalje sygnetów zaświeciły tarczami, krzyżami; zaś najwyższy i najwypuklejszy, blady rycerz na koniu z nad spienionej rzeki, oczyma rozpłomienionemi patrzał prosto w dwie pary oczu jednomyślnie na niego patrzących.

Teraz siostra Klara słyszała wyraźnie ten śpiew zaświatowy, którym rzeczy martwe napaja czasem duch człowieka, kierowany duchem Bożym. Były to szelesty skrzydeł niewidzialnych i szmery płomieni gorejących przed niewidzialnemi ołtarzami. W jej własnem sercu rozlewała się radość Anioła unoszącego ku niebu duszę ludzką do niego samego bardzo podobną.

Z uśmiechem który skupił w sobie tę słodką radość przemówiła.

— Trzeba mi już iść! Trzeba mi coprędzej zanieść

poselstwo radośne...

Wtem, spójrzenie jej upadło na wznoszący się u rogu bióra krzak kwitnącego wrzosu. W smudze słonecznej zdawał się być zabłąkaną tu zdaleka strofą polnej pieśni.

— Miły kwiat! Jakże go zblisko znałam w dniach dzieciństwa i młodości!

Zanimirski wyciągnął rękę, śpiesznie delikatne gałązki zrywać zaczął, a potem siostrze Klarze podał ze słowami.

— Zanieś jej siostro, te kwiaty, które nieraz zrywaliśmy wspólnie w zaraniu miłości naszej... biednej...

Z takim wyrazem oczu, z jakim człowiek spogląda w otchłanie, dodał.

— Wszystko zaczyna się w uśmiechach, a kończy się w łzach!

Zakonnica, z kwiatami w białych rękach, stała w smudze światła, którego różane krople migotały na jej czarnym habicie i białym kornecie.

— Trzeba mi już iść powtórzyła i z ukłonem pożegnalnym rzekła.

— Bóg niech będzie z Panem!

A on nisko pochylając głowę odpowiedział.

— Módl się, siostro, za tych, których ran, w ciemnościach bezsennych nocy, nie opatruje miłosierdzie żadne...

Koniec